

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1

CHOJNICE, dnia 14. XII. 1928.

Nr. 7

JÓZEF CHELMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

22

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

Wszyscy w najwyższym zdumieniu spojrzeli po sobie. To co usłyszeli wydało im się wprost nieprawdopodobne.

Naczelnik rzucił w stronę Romana krótki rozkaz:

— Opowiadaj, jak to się stało.

Roman opowiedział co następuje:

— Wedle instrukcji obserwowałem dom. Weszło do niego w tym czasie dwóch dobrze mi znanych, w nim zamieszkujących lokatorów. Nikt jednak nie wyszedł. Po odejściu pana przodownika niespełna w dwadzieścia minut zajechała karetka, żeby zabrać trupa Berty do kostnicy. Razem z posługaczami udałem się do izby Gustawa. Ku największemu naszemu przerażeniu skonstatowałem, że trup z izby zginął. Ani w izbie ani w piwnicy go nie było. Przeszukałem cały dom od góry do dołu, wszelkie skrytki w podwórzu, lecz po trupie ani śladu. Zostawiłem jednego posterunkowego w sieni, a sam przybiegłem o zajściu meldować.

Naczelnik zwrócił się do Suchockiego:

— Co pan o tem sądzi?

Dedektyw odpowiedział z wyrazem wstydu:

— Muszę przyznać, że moja w tem wina. Przeszukałem szuflady i kąty za papierami, niestety nie opukałem ścian ni podłogi. Prawdopodobnie istnieje z izby w jakimś kierunku tajemne wyjście. Tamtędy wyniesiono trupa. Lecz w jakim celu go zabrano? Suknie przecież przeszukałem. Nic się w nich nie znajdowało. Biegnę z powrotem i następnie panu naczelnikowi zdam szczegółowe sprawozdanie.

— Niech pan się spieszy.

Suchocki zamknął przyniesione papiery w szafie, skinął na Romana i oboje pośpiesznie opuścili gmach urzędu śledczego.

Szli nic nie mówiąc. Dedektyw nad czemś głęboko myślał. Naraz przystanął i chwyciwszy swego towarzysza za guzik od marynarki rzekł:

— Zaczynam rozumieć. Papiery, formuła, znak gwiazdy . . . Tak, tak, inaczej być nie może . . . Moje przewidywania muszą się spełnić . . . Powiadam ci Roman: Rąbek tajemnicy zaczyna się uchylać. Prędko tylko do domu Gustawa. Prędko! Tam czeka nas niespodzianka. Zobaczysz.

I z radosnem zadowoleniem tarł ręce i coraz szybciej przyśpieszał kroku.

Co bystry dedektyw miał na myśli twierdząc, że rąbek tajemnicy się uchyla? Gdzie jego genialny umysł spostrzegł koniec owej dotychczas niewidzialnej nitki?

VI.

Ludzie bez sumienia.

Tego samego dnia pod wieczór przed jednym z hoteli tucholskich utworzyło się dość znaczne zbiegowisko. Powodem było wesołe zachowanie się jakiegoś mocno ululanego jegomościa.

Wykrzykiwał, wymachiwał rękoma, wytykał język. Słowem zachowywał się jak człowiek, któremu jego pięć klepek całkiem nieoczekiwanie rozleciało się po wszystkich kątach głowy.

Zebrani z przyjemnością, tak niestety bywa, przyglądali się bezpłatnemu widowisku. Na małym popisie pijaka reagowali huraganem śmiechu. Dzieciaki śmielsze doskakiwały od niego i bądź to tarmosiły go za rękaw, bądź ciągnęły za kurtkę. Pijak opędział się i przytem upadał zwykle na ziemię.

Tłum tem głośniej objawiał swoją uciechę.

W końcu pijaczyna ruszył z miejsca i powędrował chodnikiem, taczając się od ściany domu do rynsztoku. Cała gromada ruszyła za nim i niebawem jakie 50 metrów od hotelu zaczęły się rozgrywać te same co przedtem sceny. Nadbiegło też dwóch policjantów i ci chwyciwszy awanturnika pod ramię pociągnęli go za sobą w stronę komisariat. Oczywiście kto żyw uważał za stosowne wziąć udział w tej oryginal. procesji. Każdy zajęty był blażeństwami pijaka, nikt nie zwracał uwagi na to, co teraz przed hotelem szybko się rozegrało.

Mianowicie z lokalu restauracyjnego wyszło śpiesznie trzech mężczyzn. Jeden z nich dźwigał w ręku sporych rozmiarów kartonik. Skierowali się do opodal stojącego auta, będącego pod gazem, zajęli miejsca i szofer otrzymał instrukcję:

— Całym pędem do starej chaty.

Owi trzech osobnicy byli to dobrze nam znani Lorenz, Pyra i Franz.

W kilku minut samochód znalazł się daleko poza Tucholą.

Między zbrodniczą trójką zawiązała się rozmowa. Lorenz wybuchnął śmiechem i klepiąc się po udach bełkotał:

— Nie mogę się powstrzymać! Co to za widok! Kopacki świetnie się spisał. Pierwszej klasy aktor nie dorówna mu w udawaniu pijanego.

Pyra i Franz zawtórowali rechocząc jeszcze mocniej od Lorenza, poczem Pyra oświadczył:

— O tak, Kopacki w takich historjach biegły. Widziałem jego popisy w Gdańsku. Byle tylko na policji utrzymał się w roli do ostatka.

— O to się nie kłopotzmy, dorzucił Franz. Wróbel to, który niejedne plewy zjadał. Sprytna kanalja.

— Nie, przytaknął Lorenz. Kopacki, choćby sobie piwa nawarzył nigdy nas nie zdradzi. Zresztą grunt w tem, iż odwrócił od nas uwagę, iż udało nam się niespostrzeżenie bagażprzenieść do samochodu i niespostrzeżenie odjechać.

— Racja! potwierdzili obaj kompani. Poczem potoczyła się gawęda o mało znaczących sprawach.

Auto po półgodzinnej jeździe skręciło z szosy na drogę leśną i wśród drzew przemykało się następnie licznymi drożynami. Wkońcu wyjechało na skraj lasu i się zatrzymało wśród zarośli nieopodal starej, na poły rozwalonej chaty.

Lorenz, Pyra i Franz wyskoczyli.

W dali, w odległości kilometra, na rozległej szachownicy pól rozciągała się wioska. W promieniach czerwieniejącego przed zachodem słońca kąpały się dachy chałup, a w spokojne siniejące niebo wzbijały się słupy dymu.

Na polach zamierała praca. Wieśniacy grupkami, gwarząc między sobą albo też pokrzykując od gromadki do gromadki, miedzami wracali do domów. Parobki i dziewczuchy śpiewkami lub chichotem napełniali powietrze. Drogami zaś wracało bydło z pastwiska z wesołym rykiem.

Pod ciemną ścianą boru podbiegał rozgwarwsi, ożywiającej się radością po skończonych trudach i mozolach dziennych.

Trzej kamraci patrzeli na ten spokojny obraz

ponuremi oczyma. Lorenz nie zdołał się pohamować. uniósł pięść i potrząsając nią w stronę sioła, zgrzytnął zębami:

— Nie długo tej waszej beztroski. Rozlegnie się u was i w setkach innych wsi płacz i lament. Ginąć będziecie jak muchy, a cielsk waszych nie nadążą grzebać po cmentarzach. Polski wam się chciało, niepodległej Ojczyzny. Zobaczymy, co ona władna. Zobaczymy, czy was uratować zdoła, czy was ochroni przed nami, przed „Pięcioramienną Gwiazdą“.

Stał niby posąg szatana. Z oczu jego biła taka siła nienawiści, taka żądza niszczenia, że widocznie słońce zawstydzilo się, iż musi patrzeć na tego potwora w ludzkim ciele i pogłaskawszy ziemię ostatnim promykiem różanym, schowało się za widnokręgiem.

Lorenz opuścił rękę i zwróciwszy się do swych kolegów rzekł:

— Chodźmy!

Podążyli na podwórze starej chaty.

Właściwie rudera, przed którą się zatrzymali nie zasługiwała na nazwę chaty a raczej ruiny. Dach kryty słomą w wielu miejscach ukazywał dziury, szyby w oknach po części zastąpione były deszczułkami. ściany ześ, lepione z gliny, pogięte i popękane, cudem jakby trzymały się nad fundamentami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kardynał Wieseemann

FABIOLA.

Marzenia przerwał nagle wstrętny jej głos Fulwjusza, który przyszedł domagać się wydania mu majątku Agnieszki. Fabiola odmówiła, nie chcąc, by ręce mordercy dotknęły się choćby rzeczy, które były własnością męczennicy. Fulwjusz rowścieczony odmową, dobył noża i pchnął. Fabiola zamknęła oczy. W tej chwili uczuła, jakby wielki ciężar na sobie — i gorący strumień spływający z jej łona.

Słodki głos, czułości pełny, zabrzmiał koło jej ucha:

— Stój! Oroncjuszu, — ja Mirjam, siostra twoja!

Fulwjusz odparł głosem stłumionym:

— To fałsz, oddaj mi moją zemstę!

Potem kilka słów wymówionych było językiem nieznanym Fabioli: uczuła włosy swoje z garści puszczzone, usłyszała pugiinał rzucony o ziemię i Fulwjusza gorzkie wołanie, gdy uciekał z pokoju:

— O Chrystusie! to jest twoja zemsta!

Sily Fabioli powracały, lecz czuła coraz większy na sobie ciężar. Dobyła sił, uwolniła się i powstała.

Drugie ciało leżało na jej miejscu na krześle, nieruchome i krwią oblane.

Była to wierna Syra, która pierś swoją nadstawiła pod pugiinał brata, aby panią swoją ocalić.

ROZDZIAŁ XXIV.

Kapłan i lekarz.

Myśli, które wypadek ten w szlachetnym sercu Fabioli wzbudzić musiał, przytłumiła w tej chwili nagła powinność. Pierwszem jej staraniem było zatamować krew tem, co jej się pod rękę nawinęło. Tymczasem zbiegła się służba koło pani.

Natychmiast posłano po lekarza, który Syrę dawniej podczas choroby odwiedzał — po Djonizjusza.

Djonizjusz opatrzył ranę i stosownymi środkami przywrócił Syrę do przytomności. Wtedy na kazał, aby w wielkiej była zostawiona spokojności, aby jak najmniej osób przypuszczać, unikając dla chorej wszelkiego wzruszenia, dalej nakazał aż do północy zadawać jej przepisane leki.

— Przyjdę jutro rano, — dodał — i wtedy będę musiał sam na sam z chorą się widzieć. Szepnął jej do ucha parę słów, które musiały być pomocniejsze od wszelkich leków gdyż, twarz jej za jaśniała anielskim uśmiechem.

Fabiola kazała własne łoże usłać dla chorej, dwóm służebnicom kazała w przybocznym pozostać pokoju, a sobie wyłącznie zatrzymała przywilej pielęgnowania niewolnicy. Opowiedziała przytomnym, jakim sposobem wybawicielka jej ranę odniosła; zaś o pokrewieństwie między mordercą a Syrą, nie wspomniała.

Wcześniej z rana, stosownie do obietnicy, powrócił lekarz i znalazł polepszenie w zdrowiu chorej. Prosił, aby mógł sam na sam z nią zostać, i rozłożywszy płócienny obrus na stole, postawił dwie zapalone świece i wyjął z łona haftowaną chustkę i odwinął złote pudełko, a co było w tem pudełku, dobrze chora wiedziała!

— Moje drogie dziecko, podług obietnicy przyniosłem ci nie tylko najprawdziwsze lekarstwo na wszelkie choroby cielesne i duchowne, lecz samego lekarza, którego dotknięcie przywraca wzrok ślepym i słuch głuchym, którego wola oczyszcza trędowatych. Czyż gotowa jesteś Go przyjąć?

— Z całym sercem — odpowiedziała, składając ręce, gorąco pragnę posiadać Tego, którego kocham i któremu serce moje oddane.

Zbliżywszy się do stołu, wziął ułamek św. Eucharystji i włożył do ust chorej. Zamknęła usta i pozostała przez czas jakiś w cichej modlitwie.

ROZDZIAŁ XXV. Ofiara przyjęta.

Przez cały dzień chora zdawała się zajęta głębokimi myślami, a Fabiola siedziała godzinami całymi w milczeniu, gdyż milczenie było jeszcze na teraz przez lekarza zalecone, czując się szczęśliwą i zaszczyconą przez zetknięcie się z tak rzadkim wzorem cnoty.

Nareszcie w ciągu dnia udzieliwszy chorej nieco posiłku, rzekła do niej z uśmiechem:

— Zdaje mi się, Mirjam, że ci już jest daleko lepiej. Lekarz twój musiał ci zadać jakieś cudowne lekarstwo!

— W samej rzeczy, najdroższa pani!

Fabiola była tem nazwaniem widocznie zmar twiona, i chyląc się do chorej, rzekła słodko:

— O, nie nazywaj mnie panią, błagam cię! Jeśli kto między nami, to ja ciebie tak nazywać powinnam. Lecz istotnie panią twoją już nie jestem; com oddawna zamierzała, przyszło teraz do skutku: akt twego uwolnienia jest już gotowy, nie jako dla wyzwolonej, lecz jako dla osoby w wolnym stanie urodzonej.

Mirjam podziękowała wdzięcznem spojrzeniem.

Ku wieczorowi powrócił Djonizjusz, i widział tak wielkie polepszenie, że nakazując nieco pożywniejszy posiłek, pozwolił jej więcej rozmawiać.

— Muszę teraz, — rzekła Fabiola, gdy tylko pozostały same — dopełnić pierwszego obowiązku, za którym serce moje tęskni: obowiązku wdzięczności nie za życie, któreś mi uratowała, lecz za wspaniałomyślną ofiarę, którąś dla uratowania onego uczyniła — za niezrównany przykład bohaterskiej cnoty, która jedynie czyn ten natchnęła.

— FABIOLA! cóżem uczyniła, jeśli nie prostą powinność? Miałas prawo do życia mego w daleko mniej ważnym przypadku, jak w niebezpieczeństwie życia twego — odrzekła Mirjam.

— Zapewne — rzekła Fabiola — tak się to wy daje tobie, wykarmionej wzniosłą nauką, że najbardziej bohaterskie czyny mogą być uważane za wypełnienie prostego obowiązku.

— I wtedy — rzekła Mirjam — przestając być tem, czem je nazywasz.

— Nie, nie. — zawołała Fabiola z zapalem. — nie czyn mnie nikczemną we własnych oczach moich, nie pozwalając godnie oceniać i wychwalać niezrównanego przykładu bohaterskiej cnoty. Rozmyślałam dniami i nocą nad czynem, którego byłam świadkiem; serce moje z upragnieniem oczekiwało chwili, w której z tobą mówić mi będzie wolno, lecz i teraz nie śmiem, bobym cię w osłabieniu twojem zmęczyła moją rozmową.

Mirjam, która się teraz podniosła, siadając na łożu, ujęła w ręce swoje obie ręce Fabioli i obracając się ku niej, miłym i słodkim głosem, lecz żarliwie przemówiła:

— Dobra moja pani! racz mnie posłuchać. Nie, aby poniżać to, co w dobroci swojej cenić się podoba, lecz aby cię nauczyć, jak daleko jesteśmy jeszcze od tego, co czynionem być może: pozwól mi opisać tobie podobny przykład, lecz w którym wszakże wszystko przeciwnie odbywa się.

Wystaw sobie, iż jakiś niewolnik podły, niewdzięczny, buntuje się przeciw najłodszeemu i najłaskawszeemu z panów. Jakżebyś nazwała czyny i jakbyś oceniła cnotę tego pana, gdyby z czystej miłości i w celu ratowania tegoż człowieka, oddał głowę swoją pod miecz, a poprzednio ciało swoje pod hańbiące różgi, i zostawił w testamen-

cie, że niewolnika czyni spadkobiercą wszystkich bogactw i tytułów swoich, i pragnie, aby był uważany za brata jego najukochańszego?

— O Mirjam, Mirjam! przedstawiłaś obraz zbyt wzniosły, aby można tyle cnoty przypuszczać w człowieku — czyn, któryś opisała, wymagałby boskiej cnoty.

Mirjam przycisnęła złożoną rękę do piersi, wlepiała w zadziwioną twarz Fabioli oczy pełne niebiańskiego natchnienia, i słodko i uroczyście odrzekła:

— I Jezus Chrystus, który to wszystko dla człowieka uczynił, był istotnie Bogiem!

Fabiola zakryła oblicze rękami i przez długi czas milczała. Mirjam modliła się gorąco w spokojnem sercu swoim.

— Mirjam! dziękuje ci z głębi duszy za to wyjawienie, rzekła nareszcie Fabiola. Od jakieg. szasu obawiałam się, żeś ty może nie jest, jak Sebastian i Agnieszka chrześcijanką, lecz to być nie mogło.

— Teraz powiedz mi, czy te uroczyście, lecz słodkie słowa, któreś dopiero wymówiła, są tylko częścią chrześcijańskiego systematu, czy jego główną zasadą?

— Droga FABIOLA! — odrzekła Mirjam, uczeńsi nauczyciele odemnie, przedsięwzją nauczanie tak zdolnej i przenikliwej osoby. Lecz czyliż będziesz mi wierzyć, jeżeli spróbuję dać ci jakie słabe objaśnienie?

— Mirjam! — odrzekła Fabiola z mocnym przyciskiem. kto chciał umierać za mnie, zapewne mnie nie oszuka.

— Posłuchaj więc, droga FABIOLA, o Boskim naszym Zbawicielu!

I Mirjam opowiedziała w krótkości historję narodzenia Zbawiciela, Jego pracowitą młodość, czynne, a pełne cierpień życie publiczne, nakoniec haniebną Mękę Jego. Opowiadanie często przerywane było płaczem chciwie słuchającej uczennicy.

ROZDZIAŁ XXVI. Śmierć radosna.

W parę dni po wypadku opowiedzianych, da-no znać Fabioli, że stary człowiek w wielkiem zmartwieniu prosi, aby mógł się z nią widzieć. Gdy zeszła na dół i zapytała o interes, człowiek ten odpowiedział:

— Szlachetna pani! nazywam się Efraim, mam wielki dług zapewniony na majątku Agnieszki, który przeszedł w ręce twoje; przyszedłem więc zgłosić się do ciebie o spłacenie długu, jeżeli nie chcesz zgubić nieszczęśliwego człowieka.

— Jak to być może? — zapytała zdziwiona Fabiola, nie mogąc wierzyć, aby moja krewna zaciągała długi.

— Nie! to nie ona, odrzekł lichwiarz. trochę pomieszany; lecz młody pan, imieniem Fulwjuś, któremu majątek miał się dostać przez konfiskatę; jemu więc pożyczyłem wielkie sumy z bezpieczeństwem na tym przyszłym jego majątku.

Pierwszą chęcią Fabioli było kazać żyda z domu wypędzić, lecz pomyślała o ukochanej wybawicielce i rzekła grzecznie:

— Długi Fulwjusza spłacę, idź do mego rządcy, on wszystko załatwi.

Człowiekowi, który prowadził jej interesa, stosowną dała instrukcję, dług kazała spłacić. Na stępnie trudniejszą zadała mu pracę, przejrzania wszystkich rachunków ojca i przekonania się o każdym pokrzywdzeniu lub uciemieniu, aby jej dać sposobność zadośćuczynienia. I dalej przeko-

nawszy się, że Korwin z pomocą ojca swego istotnie otrzymał cesarski reskrypt, przez który prawnie do niej należący majątek uratowany był od konfiskaty, chociaż widzieć go na oczy nie chciała, wyznaczyła mu wynagrodzenie dostateczne, aby mu całe życie dobry byt zapewniło.

Ukończywszy tak wszystkie majątkowe sprawy, zajmowała się pielęgnowaniem przyjaciółki i przygotowaniem siebie do Chrztu świętego. Dla przyspieszenia powrotu Mirjamy do zdrowia, zabrała ją z małą liczbą domowników, do miejsca pełnego drogich pamiątek do Nofentańskiej willi.

Wiosna już się przeważała ku letniej porze i Mirjam mogła spoczywać na łożu przy oknie, lub w cieplejszej porze dnia, wynoszona bywała do ogrodu.

Lecz wszyscy, prócz Fabioli, zé smutkiem uważali, że chora, chociaż rana była zagojona, do sił nie powracała. Miłość jest tak pełna nadziei i tak ślepa! Na jej licach występował rumieniec, zdradzający piersiową słabość: wychudła była i osłabiona.

Nadszedł nareszcie szczęśliwy dzień dla Fabioli i jej towarzyszek, — dostatecznie przygotowane do przyjęcia Chrztu świętego, miały dostąpić tego zaszczytu. Chrzt ten Fabioli i jej sług, oprócz radości w duchu, nie był niczem na zewnątrz uweselony.

Poranek zeszedł na modlitwie i przygotowańach, a ku wieczorowi rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo, mające się przeciągnąć do późnej nocy, — uroczyste, lecz smętnością czasów prześladowania nacechowane.

Gdy Fabiola powróciła po chrzcie do willi, długie milczące uściśnienie było pierwszym przywitaniem nowej sługi Chrystusa z Mirjamą. Obie były tak uradowane, tak nieskończenie wynagrodzone za to, czem nawzajem dla siebie były od kilku miesięcy, że żadne słowa nie mogły wyrazić ich uszczęśliwienia.

W tem gorącym uściśnieniu, o którym wspomnieliśmy, Fabiola pierwszy raz zauważyła krótki oddech i ciężkość w piersiach drogiej Mirjamy. Beż namysłu, posłała prosić Djonizjusza, aby przyszedł nazajutrz.

A teraz po całodziennych błogosławionych trudach, zasiadała Fabiola do stołu obok leżącej Mirjamy, wraz ze wszystkimi ponawracanemi niewolnicami swojemi i sługami Agnieszki, które przy sobie zatrzymała, i nie pamiętała w swem życiu, aby kiedy odprawiła tak rozkoszną wieczerzę.

Nazajutrz rano Mirjam przywołała do siebie Fabiolę, i czułym pieszczącym głosem, jakim dotąd nigdy nie mówiła, rzekła do niej:

— Droga siostró moja, co poczniesz, gdy cię opuszczę?

Żal opanował biedną Fabiolę. — Chcesz więc mnie opuścić? Miałam nadzieję, że będziemy żyć razem, jak siostry. Lecz jeżeli pragniesz opuścić Rzym, czybym ci nie mogła towarzyszyć przynajmniej, aby cię pielęgnować i aby ci służyć?

Mirjam uśmiechnęła się, łza była w jej oku, gdy biorąc rękę siostry, wskazała na niebo. Fabiola zrozumiała i rzekła:

— O nie, nie! najdroższa siostró! Módl się do Boga, który nie odmówi, abym cię nie utraciła. Samolubna prośba, ja wiem, lecz cóżbym poczęła bez ciebie? Ty wyzdrowiejesz, bo pewna jestem, że niema nic zatrważającego w tym stanie; ciepły czas i rozkoszne powietrze Kampanji wkrótce przywróci ci zdrowie.

Mirjam skłoniła głowę i wesoło odrzekła:

— Nie lędz się najdroższa. Bóg dozwolił mi dożyć tego szczęśliwego dnia; lecz ręka Jego spuszcza teraz śmierć, jak dotąd zachowywała przy życiu, i z radością śmierć witam.

Fabioli sił nie stało na odpowiedź i załża się rzewnymi łzami; Mirjam mówiła dalej:

— Uczynź znak zbawienia na ustach moich, gdyż już mówić nie będę mogła; a ty dobry ojczu Djonizjuszu, pamiętaj o mnie przy ołtarzu, gdy mnie już tu nie będzie.

Modlił się przy niej, a ona odpowiadała. Jak już głosu brakło, ustami w modlitwie ruszała, usta przyciskała do krzyża, który jej podawano. Twarz konającej była pogodna i wesoła. Nareszcie podniósłszy rękę do czoła i przeniósłszy ku pierśsiom, spuściła skostniałą, kończąc znak zbawienia. Uśmiech przeszedł po jej twarzy i oddała Bogu ducha.

Fabiola płakała wiele, lecz tym razem płakała, jak ci, co mają nadzieję! . . .

Zwycięstwo.

W roku 318, piętnaście lat po świątobliwej śmierci siostry Fulwjusza, czas i ustalone prawa dały Kościołowi bezpieczeństwo zewnętrzne. Wielu, którzy z przywróceniem pokoju pospuszczali głowy, zawdzięczając życie grzesznej swej uległości podczas prześladowania.

Fabiola całkowicie oddała się dobroczynności. Czas swój dzieliła na korne modlitwy i pracę dla potrzebujących opieki, dla których przeznaczyła też swój cały majątek.

Korwin zmarł śmiercią, jaką mu przepowiedział Pankracjusz: przechodząc podпиты przez Koloseum, obok jam dzikich bestji, zbliżył się do klatki pantery. Zwierzę pazurami uchwyciło gardło Korwina i wyrwało okropną ranę. Nie pomogły zabiegi lekarza. Okazało się bowiem, że pantera była chora, na wściekliznę. Korwin skończył życie w strasznych mękach, jak zwierzę dzikie, z pianą na ustach i przekleństwami.

Smutną śmiercią zginęła również afrykanka Jubala. Prześladowana przez dzikiego męża, uciekła do domu Fabioli, lecz tuż przed progiem, trafiła ją strzała Numidyjczyka. Zmarła jednak — dzięki Fabioli — jako chrześcijanka.

Również Fulwjusz, (zwący się właściwie Oroncjusz), pomimo iż tyle na nim ciążyło krwi, dostąpił łaski Najwyższego. Po ucieczce z Rzymu wraz z Eurotesem, który był jego złym duchem, długo tułł się po świecie. Upragnionego majątku nie znaleźli, popadli w nędzę, której kres miała położyć trucizna. Lecz Fulwjusza ocalił Hilarjon z Gazy, towarzysz św. Antoniego. Ocalił mu nie tylko życie, lecz i duszę, bowiem Fulwjusz, nareszcie skruszony, opłakał grzechy swoje — i po pokucie przyjęty został w poczet chrześcijan.

Jeszcze raz zobaczył się Fulwjusz - Oroncjusz z Fabiolą, w Rzymie, dokąd powędrował, aby pomodlić się u grobu świętej męczennicy Agnieszki, swej ofiary. Odszedł ukojony, zwłaszcza że dowiedział się, iż siostra jego Mirjam zmarła na suchoty, a nie wskutek rany, jego ręką jej zadanej.

Chrystus zwyciężył, nawet w sercu takich, jak Fulwjusz.

Nad światem zapanował krzyż.

KONIEC.